



PISMO TYGODNIOWE ILLUSTROWANE DLA KOBIET.

Prenumerata w Warszawie.

We wszystkich księgarniach i kantorach pism peryodycznych po cenie rocznej rsr. 7 kop. 20; półrocznie rsr. 3 kop. 60; kwartalnie rsr. 1 kop. 80; miesięcznie kop. 60.

Prenumerata w Cesarstwie i Królestwie:

Kwartalnie rsr. 2 kop. 50; półrocznie rsr. 5. rocznie rsr. 10.

Wydawca MICHAŁ GLÜCKSBERG.

EXPEDYCJA GŁÓWNA W KSIĘGARNI WYDAWCY
Ulica Królewska Nr. 5.

W Cesarstwie Austriackiem we Lwowie u Gubrynowicza i Schmidta kwartalnie flor. 3; na prowincyi z przesyłką pocztową flor. 3 cent. 80
W Krakowie: u D. E. Friedleina, kwartal. flor. 2 cent. 75 na prowincyi z przesyłką pocztową flor. 3 cent. 50.

W W. Ks. Poznańskim: u Leitgerbera i Spół, kwartal. tal. pr. 1 sgr. 20.

POGA WĘDKA.

Mamy tedy i wyścigi, i wystawę inwentarza i jarmark wełniany, mieliśmy i Zielone Świątki i otwarcie ogródków, i premiery w letnim teatrze,—słowem wszystko, co kończy sezon wiosenny a zapowiada bliską porę ogórkową, wyludnienie się Warszawy, generalną pauzę towarzyskiego, artystycznego, publicznego ruchu i życia.

Maluczko, a będziemy ziewali na potęgę, skarżyli się na nudy i kanikule, wyjeżdżali do Ciechocinka i na willegiatory do swoich, co sobota, a wracali w poniedziałek i tęsknili do jesieni.

W kółko, w kółko, w kółko jedno i to samo.

Życie, jak różaniec, składa się z jednakowych paciorków, co najwięcej inaczej zabarwionych...

Obecnie ciemne kolory lub szare przeważają; taka już widocznie moda i w losach, i w usposobieniach ludzkich.

Co kogo spytam zwyczajnem w tych czasach zapytaniem:

— Cóż, wyjeżdżasz pan gdzie na lato?—każdy robi minę kwaskowatą, ramionami wzrusza, czoło marszczy w podłużne fałdy, a usta wydyma wymownym grymasem i odpowiada:

— Ale gdzie tam!... niema za co.

Swoją drogą, ten i ów w ostatniej chwili znajdzie jeszcze jakie ostatnie grosze i choć na kilka tygodni czmychnie z Warszawki, by wypocząć, wytchnąć na świeżem powietrzu, wzmoć się, wyrestaurować; ale uczyni to jak najoszczędniej, najtaniej i oile możności skróci przestrzeń swojego wylotu, bo skrzydła coraz bardziej opadają każdemu.

O wystawie nie jeszcze powiedzieć nie mogę;

znam ją z przygotowań dopiero, z zapowiedzi, z programów, o których już potrosze wspominałem.

Oile mi sądzić wolno, będzie ona podobną do swoich poprzedniczek w główniejszych rysach i chyba dla specjalistów znajdą się jakieś odcienie na korzyść lub niekorzyść; my pospolici śmiertelnicy będziemy patrzali w kojce, klatki, przegrody i będziemy gotowi przysiąc, że te konie, krowy, owce, psy i kury widzieliśmy już roku zeszłego, a z pewnością zobaczymy znów w roku następnym.

Dla szerokiego tłumu siłą przyciągającą i urozmaiczeniem wystawy będą owe wyścigi, popisy festyny, koncerty, pochody japońskie, gonitwy rzymskie, i t. p. zabawki, o których dzisiaj cuda opowiadają dla rozdmuchania ciekawości naszej do żaru.

Pójdziemy, zobaczymy, byle tylko Czerwiec nie rozmazgał się zanadto i nie płakał nad niegodziwością Maja, który go w upałach uprzedził i pokrzywdził

Tych zabaw i igrzysk ludowych będziemy mieli dużo w bieżącym miesiącu.

Oprócz dwu — czy trzydniowych zabaw w arenie wystawy inwentarza, mamy w projekcie wielką zabawę we Frascati, a d. 16 go b. m. Towarzystwo opieki nad ubogimi matkami i ich dziećmi urządza bal letni w salonach i w Ogrodzie Doliny Szwajcarskiej. Muzyka, tańce, iluminacya, ogień sztuczny, kollacya zbiorowa wchodzą w program tej oryginalnej majówki, która ma być wskrzeszonym echem karnawału, bez jego ceremonialnej wystawy, przepychu w strojach i krepującej etykiety. Każdy, co trzy ruble znajdzie w swojej własnej kieszeni, będzie miał prawo kupić bilet wejścia i w obowiązkowym fraku, białym krawacie i szapokłaku puścić się w tany po sali balowej, mając cały ogród potem do rozporządzenia, by w cieniu drzew wytchnąć

z nadobną tancerką i ochłodzić się po siarczystym mazurze, lub szalonym walcu przy 25° Reaumur.

Mam jakieś dobre przecucia co do tego macierzyńsko-dziecięcego balu, któremu ze względu na cel i sympatyczną instytucyą życzę jak największego powodzenia, chociaż przyznaję, że trzy ruble za bilet wejścia ograniczają w tych czasach udział w tej zabawie jedynie na sfery, mogące nie obliczać się zbyt skrupulatnie ze swoją gotówką.

O to też zapewne chodzi, by uniknąć zbytnej mieszaniny... towarzyskiej, przy pozorach demokratyzowania zabawy publicznej.

Wyścigi tegoroczne podobno są interesujące; nie wiem o tem, bo ani razu nie byłem na Polach Mokotowskich i nie wstydzę się takiego zaniedbania w sporcie. Czytałem tylko polemikę pięknej *fiorai* w *Kur. Por.*, która się broni przed zarzutami „karoty“ i utrzymuje, że swe elegancie bukietki oddaje za „co łaska“, a że panowie i panice dla szyku rzucają jej po rubelku za kilka kwiatków, to trudno: przecież reszty wydawać nie można w chwili największej emocji, gdy konie stają do startu, albo gdy totalizator wypłaca wygrane, albo gdy Highland debiega do mety.

Niechby sobie *fioraja* w rękawiczkach i modnym kapelusiku brała na bukietki, kogo chce, byle tylko nie była...“ Niemką. Wobec rachunków z Niemcami te rubelki wyrzucane za wdzięczący się uśmiezek i słodkie „*dancke sehr*“ nadobnej Blumenmaedchen są źle użytym pieniądzem i niekonsekwencyą.

Na drugim wydaniu słynnej weimarskiej mapy etnograficznej, która narobiła tyle hałasu obecnie przedstawieniem „Polaków w Niemczech“, (Niemcy te obejmują więcej, niż całe Królestwo Polskie ku wschodowi, północy i południowi) będziemy może mieli, dzięki kwaciarce znad Spre-

wy czy Renu, pod Warszawą jeszcze większą niemiecką plamę, oznaczającą: *deutsche Blumenanlagen an der Weichsel*.

Byle protext przecież wystarcza dzisiejszym germanom do annexyi.

Przyznam się, że ta Anetka czy Fräulein Mimi, czy jak tam, jest także jedną z przyczyn, dla których wysięgi na Mokotowie nie mają dla mnie w tym roku tak wiele interessu; wybrałbym się wszelako bardzo chętnie na tor, gdyby się sprawdziła wiadomość o zamierzonych kursach... samej płci pięknej.

Ktoś tę wiadomość rozpuścił w dziennikach, iż śmiałe amazonki warszawskie chcą się puszcząć w przegony na torze wysięgowym.

Byłoby to nowe i oryginalne widowisko, ale wątpię czy przyjdzie do skutku wobec tego, że tak nie wiele pań oddaje się u nas sportowi i korzystu z jazdy konnej.

One wolą zamiast wierzchowcem, kierować zręczną rączką — lwami salonowemi. Co kto lubi!...

Żyjemy w czasie kursów i konkursów; Warszawa zachorowała na konkursomanią; mamy konkursy literackie, dziennikarskie, malarskie, muzyczne, dramatyczne. Dopiero wienczyliśmy laureatów, których wawrzyny jeszcze nie miały czasu zwiędnąć, ale które podskubywać zaczęto, a tu w nowe szranki wzywają zapaśników różnej broni.

Niebawem surmy uderzą wielką fanfarę, ogłaszając turniej samych komedypisarzów o nagrodę tysiąca rubli.

Z poprzedniego konkursu zostało trochę pieniędzy, Lubowski zrzekł się wspaniałomyślnie trzeciej nadzwyczajnej nagrody, postarano się o dopełnienie summy z kieszeni mecenasów sztuki i pod egidą tegosamego komitetu, który pierwszy konkurs rozpiął, rozpocząć się ma drugi z terminem do 1 Września roku przyszłego.

Jak pierwszy był uczczeniem pamięci Wojciecha Bogusławskiego, tak przyszyły ma nosić firmę Alojzego Żółkowskiego; bardzo szczęśliwy wybór i trafna forma utrwalania czci dla wielkich imion w sztuce i literaturze.

Aby wszelako historyzm znowu nie pobruździł, aby nie narazić się na zarzuty, że scena długiego i faktycznego pożytku mieć nie może z najlepszej nawet tragedji dziejowej, słowem, aby znowu nie irytować Brandesa i Prusa, jako głównych zwolenników żywotności tematów współczesnych ewentualną nagrodą jakiego „Alberta wójta“, mają być dopuszczone do konkursu tylko same komedye i tak zwane „sztuki“ społeczne.

Gdyby się nie znalazł taki geniusz, któryby zasługiwał na cały tysiąc rubli w gotówce, komitet zostawia sobie swobodę rozporządzenia dowolnie premiovym funduszem; podzieli go na kilka nagród mniejszych, albo przekaże w całości na rzecz nowego konkursu i tak *in infinitum*, dopóki nie doczekamy się arcydzieła.

Daj Panie Boże, chociaż nie chciałbym ja sam być w skórze tego szczęśliwca, któremu przyznają pierwszą nagrodę i przy wielkim dzwonie rozgłoszą jego imię, jako tryumfatora, bo przekonałem się na doświadczeniu drugich, że to rozkosz średnia a wielce ryzykowna u nas.

Najpierw padną wszyscy plackiem przed tobą, nieszczęsny laureacie, i zaduszą cię kadzidłem pochwał, a potem jeden po drugim wstawac zaczną i umykać z tłumu twoich wielbicieli, twierdząc, żeś ty ani taki wielki, ani taki zdolny, ani taki ładny i miły, ani wart tysiąca rubli, może pięćset, może sto, a wreszcie od biedy niechby dziesięć.

O sławo, czyzy dymiel.... o stałości ludzka, chorągiewko na wietrze!...

Mimo wszystko, pewny jestem, że teraz wozami już zwozić będą manuskrypta przed redakcją *Gazety polskiej* i że komitet będzie musiał potroić skład swoich członków, aby uporać się z czytaniem i roztrząsaniem konkursowych utworów.

Pisanie na konkurs weszło u nas w modę.

Kto ma tylko wolną godzinkę czasu wieczorem, jaki taki kwacz męspisany i trochę białego papieru, choćby z otrzymanych listów, zasiada przy stoliku i wali nowelle, felietony, dramata,

komedye, wiersze i prozę, próbując pióra i talentu.

W ten tylko sposób mogę sobie wytłómaczyć ową lawinę manuskryptów, jaką zasypano redakcją *Tygodnika ilustrowanego* z powodu ostatniego konkursu tak, że się biedni sędziowie wygrzebać z tąd sterty nowel, powiastek, szkiców historycznych i poematów o kobiecie przez kobietę nie mogą.

Trzy kopy nowel i półtorej kopy wierszy!... to nie żarty.

Dwieście pięćdziesiąt serc z okładem puka w przpieszonym takcie, wyczekując wyroku sądu konkursowego, który i tak nie będzie rozstrzygającym, bo dopiero powszechne głosowanie, jak na prezydenta republiki, orzeknie komu pp. Gebethner i Wolf mają wypłacić 150 rubli za nowelle i 75 rubli za poemat.

Sprawa to jeszcze długa i chyba na jesieni dopiero się zakończy, zanim wydrukują wszystkie oznaczone do plebiscytu utwory; można schudnąć lub utyć do tego czasu, wyjść za mąż lub ożenić się, a nawet przenieść do najwyższego sędziego z poematem własnego życia na konkurs ostateczny.

Nie, niegodziwie miał serce ten pan, który redakcyi poddał myśl konkursu na warunkach, wystawiających cierpliwość autorów na takie straszne próby.

Z manią konkursów nie koniec.

Zeszłej niedzieli w kościółku św. Salwatora na Zwierzyńcu w Krakowie, uczczono pamięć nieodżałowanego autora „Chłopów arystokratów“ i „Błazka opętanego“, Wł. Ludwika Anczyca; odsłonięto piękną marmurową tablicę z wizerunkiem nieboszczyka i napisem: „autorowi „Tyrtusza“, dramaturgowi i pisarzowi ludowemu od przyjaciół“, odprawiono uroczyste nabożeństwo, rozdano pamiątkową broszurę z życiorysem zmarłego przed trzema laty pisarza, wieczorem zaś dano w teatrze miejscowym „Halke“, a dochód z przedstawienia przeznaczono na związek funduszu imienia Władysława Ludwika Anczyca, który ma stanowić konkursową nagrodę za napisanie najlepszej sztuki ludowej.

Ja powiadam, że teraz żyć nie umierać nowel-listom, poetom i dramaturgom, słowem, wszystkim ludziom pracującym „w atramencie“.

Z konkursami idą w parze wystawy; mamy już jedną na Ujazdowie, która musiała się trochę opóźnić z winy pana przedsiębiorcy, rzemieślników, dostawców i t. d., boć to przecież fatalność wszystkich wystaw wogóle, a u nas szczególności.

Z kolei będziemy mieli wystawę ogrodniczą, a potem wystawę nasion, a potem wystawę dekoracyjną, a potem wystawę emalii, miniatur, litografij, sztychów, drzeworytów i t. p., a potem... komuś znowu przyjdzie jakaś oryginalna myśl do głowy urządzenia nowej wystawy, jak temu felczerowi przy ulicy Dzikiej, który wysypał za oknem u siebie z ćwierć korca... zębów ludzkich, jako reklamę dla swej szerokiej praktyki i wprawy dentystycznej.

Gdybym miał głos doradczy w jakim towarzystwie lub jakiej wpływowej instytucji, proponowałbym i ja urządzenie wystawy (a co?... mania staje się zaraźliwą) ale wystawy, któraby trwałszy mogła przynieść pożytek i ślad po sobie pozostawić.

Mam na myśli wystawę drobnego przemysłu.

W roku zeszłym widzieliśmy, jakie żywe zajęcie obudził na ogólnej wystawie krajowej pawilon z wyrobami małych przemysłowców i rzemieślników; stosunkowo miały gkazy ich więcej materialnego powodzenia od innych, rozkupiono wszystko, a dziwno się lada drobnostce.

Przypuszczam, że osoba wystawa na większą skalę, która miałaby poparcie władz, oile wnioskować można z okólnika pana ministra spraw wewnętrznych do pp. gubernatorów, przyniosłaby nie małą korzyść i publiczności, i wystawcom, drobnemu przemysłowi i gospodarstwu rolniczemu.

Lepsze to przecież od popisów kucharzy, cukierników, tapicerów, przebranych Japończyków i hec cyrkowych, któremi wabi się u nas tłumy.

O tym drobnym przemyśle mówi się u nas

z rozczeniem, z platoniczną miłością, ale go się kocha sercem skąpego wujaszka, który gotów płakać nad synowcem, byle mu tylko nie musiał złotówki ofiarować.

Zdaje mi się, że wujaszek mógłby dobry interes zrobić na zaniedbanym kopciuszk, gdyby mu pomocy swojej i grosza nie poskąpił.

Wielkie przedsiębiorstwa są dzisiaj ryzykowne; sztucznie ich wywoływać nie można, bo skończą tak, jak stalownia akcyjna na Pradze, którą obecnie przenoszą nad Don, aby nie zbankrutowała zupełnie. W małych entrepryzach zatem należałoby szukać chwilowo zużytkowania i owocowania kapitałów.

Rozpisuję się o tem tak, jakgdybym sam był finansistą i pisał felietony do „Gazety handlowej“, nie do „Bluszczu“; przepraszam, pomówmy o... ogródkach; jest ich trzy obecnie, jeżeli nie będziemy liczyli Promenady, gdzie także pokazują komedye i różne sztuki łamane i ekwilibrystyczne.

Ze wszystkich wszelako namiotów letnich Mel-pomeny najlepiej dotąd zaprezentowała się Alhambra tak pod względem gry, jak i repertoaru poważniejszego.

Artyści teatru poznańskiego odświeżyli ogródkową atmosferę sztuki i naprawili opinią teatryków, która w ostatnich czasach bardzo podupadła. Na scenie tej znać lepszy ton, staranniejszą wysławę, dobór młodych sił i talentów, dyrekcyja prowizoryczna pod firmą p. Marcellego Trapszy, nie goni za efektami, nie szturmuje publiczności „bombami“, układa repertuar z komedij salonowych i sztuk ludowych, nie wabi tłumami kupletami operetek i skokami baletniczek, słowem rozumie swoje zadanie i *pro honore domus* pracuje.

Rozumie się, że i najwięcej uznania sobie zdobywa u wszystkich współzawodników, a na najwięcej powodzenia zasługuje.

Quis.

KARTA Z PAMIĘTNIKA POETY.

(Dalszy ciąg.)

Luty.

Od pół roku jestem w D. jednym z główniejszych siedlisk europejskiej sztuki. Patrząc, widzę „dziwuje się“, jak owa Maryś znowelli Sienkiewicza. Oddałem się sztuce. Czuję jej poważny, spokojny wpływ. Dusza moja oddycha równym i pełnym oddechem. Wrażenia, jak fala płyną w nią i wytwarzają sobie łożysko głębokie. Zrazu byłem tak roztargniony, rozrzucony, rozerwany, widokiem tysiąca nowych dla mnie rzeczy, że przelatwały przeze mnie ich odbicia, jak chmury strojnych, błyszczących motyli i strząsnąwszy z siebie najdelikatniejszy pyłek, wylatały z duszy napowrót. Jeśli się tak można wyrazić, były to tylko wrażenia wrażeń, dotknięcia przelotne, muskające samą powierzchnią umysłu bez poważniejszego wpływu, dając więcej chwilowej przyjemności, niż korzyści. Pamiętam, w początkach, gdy gorączkowo jeszcze wpadał do galerji, błąkałem się po tych świętych komnatach, których ściany płonęły dziełami największych mistrzów, nie nie widząc szczegółowo, nie znając jeszcze cech szkół rozlicznych i typowych rysów artystów, patrząc na wszystko razem; chodziłem tylko i chodziłem, od czasu do czasu wpatrując się w słodką twarz jakiej Madonny, w oczy jakiego uroczego stworzenia, co nie wiedziałem, czym jest, aniołem, czy dzieckiem, nimfą czy amorkiem, i szedłem dalej póki mnie znów jaki złoty krajobraz włoski lub chmurny Wouwermann'a nie zatrzymał. Z chciwością czytałem na ramach znane mi sławne nazwiska i cieszyłem się, że ja to wszystko na własne oczy widzę! Biegłem potem do sal purpurowo wybitych „gdzie rząd posagów stoi“, i dotykałem białych draperji marmurowych, postaci z ciekawością dziecka, i znów dalej gnała

mnie niecierpliwosć, gdzie w etnograficznych muzeach oglądać można postęp ludzkiej inteligencji, zaczynającej się od węzłów indyjskiej sieci, karaibskich łodzi, alfuroskich strzał, aż do najsubtelniejszych wyrobów cywilizowanej ręki Europejczyka, który z żelaza robi koronki, a nici ze szkła. Widziałem rycerzy turniej z podniesionymi do walki mieczami, widziałem Maurycego Saskiego, na czele swych jeźdźców milczących, i tajemniczych rycerzy sądów bożych.

Wieczorem śpieszyłem do teatru, gdzie mnie wabił znany mi dotąd z mętnej tylko baśni Wagner. Te pierwsze wrażenia przelotne były i chaotyczne; nie umiałem sobie zdać z nich żadnej sprawy, czułem tylko, że się nasycam jakąś harmonią i pięknoscią, że jest mi z tem dobrze, że tego mi właśnie było potrzeba, i że za nic na świecie nie wyjechałbym ztąd, póki do dna nie wypiję tego estetycznego pucharu. Ale później przy rozważniejszym badaniu sztuki, gdy śledziłem przebieg historyczny jej idei i celów, pojęcia moje nabierały coraz większej siły, jasności, dobitności, jakby pieczęć wrażenia na mojej duszy odbijała się głębiej i trwalej.

Czułem, że się w myślach na obszarze mojej wiedzy przerabiać zaczyna świeży materiał, gromadzą się nowe zapasy doświadczeń, zwerbowane w zewnętrznym świecie, które ją kiedyś znów do nowej wewnętrznej poprowadzą walki. Badałem niecierpliwie stan mojej duszy, zostającej pod działaniem piękna, i wpatrywałem się w nią, jak w psychologiczną arenę, oczekując niespokojnie, co ze mną będzie? Byłem ciekawy sam siebie. Stało mi ciągle w pamięci owo cierpienie z powodu zamarcia wrażliwości i z rozkoszą czułem, jak władze moje nanowo pracowały szybko, zręcznie, rzekłbym elastycznie, znalazłszy nieznaną jeszcze obszar do badania, jakby spragnione czynności i spożytkowania swoich sił. Ach! czułem, że czuję! Czułem, że żyję! To jest także szczęście, gdy się życie odczuwa, bo tak bezwiednie istnieć bez uniesień, bez chwil błogich lub smutnych, lub ciężkich nawet, o, jabym nie mógł! Gdy przekonałem się, że moc odczuwania wróciła, wziąłem się do pracy sumiennej nad sztuką, po której dopiero uzyskuje się estetyczny wynik silnych wrażeń, zrozumienie i krytykę sztuki. Starłem się zajrzeć do głębi tej psychologicznej zagadki, jaką jest tkwiąca w najdzikszych nawet plemionach, potrzeba zaspakajania estetycznych popędów, i popędy te śledzić w ich dziejowym rozwoju, postępie, rozkwicie. Widziałem pierwiastek piękna zamknięty w najpierwszych, najłatwiejszych swych objawach, gdy sztuka ograniczała się do pożytku i nie była jeszcze niczem odrębnym od delikatniejszego wyrobu rzeczy, codziennie niezbędnych; widziałem ją potem wynoszącą się nad poziom użyteczności tylko, stwarzającą sobie własną sferę, potem wstępującą na piedestał wzniosłości, gdzie u szczytu czekała ją sankcja ideału. Patrzyłem w życie ludów, które w pięknie wyrażały siłę swą żywotną i po złotej przędzy natchnień dochodziły złotego wieku; lecz przebrawszy miarę, straciwszy równowagę ile z tej siły życia piękno oddać wolno, gnusniały w miękkiem rozpieszczeniu i stawały się w końcu pastwą młodych, zdobywczych plemion, dla których znów z kolei czar piękności w podbitem społeczeństwie zawarty, stawał się siłą destrukcyjną, rozbrajającą hart pierwotny, póki nie wyrobiły sobie sztuki własnej, idącej z rzeczywistych potrzeb nowych ludzi i czasów.

Tak przechodziły mi godziny całe, na szukaniu w najodleglejszej przeszłości przyczyn tego, co stało dziś przedemną jako ostateczny, najdoskonalszy wynik rozwojowego pochodzenia piękna.

Hlekoć bardzo pracowałem, czułem dziwną radość; nieraz wstać musiałem od książki lub pisania i chodzić po pokoju, ciesząc się moim stanem naprężenia duchowego, bo sam nie wiem, jakby to nazwać inaczej, co mnie tak cieszyło tajemnie. Ach, znacie wy uniesienia ducha, tylko jedynie nad tem, że duchem jest, że czuje się czemś wielkiem i nieskończonym, że ma możność rozwinięcia tego wewnętrznego kłębaka, co

stulony spoczywa na dnie, i czeka rozciągnięcia się w przestrzeń otwartą?!

Ze wszystkich sztuk pięknych rzeźba najpierw wykończyła w mej duszy swe działanie. Patrzyłem w przeszłość jej. Tam, niegdyś, w blasku „rózowopalcej“ greckiej jutrzeńki, w śnieżystą pierś marmuru wionęło życie. Człowiek pragnął kształtu dla swych pierwszych, silnych, konkretnych idei o pięknie, i materiał wybrał też silny, aby idee te wyrazić dobitnie i trwale. Nie dość już było artyście walić głowy na głowy w piramidą wysokość, nie dość mu było eksperymentalnych prób z łomami kamienia gdzie piękność zostawała sfinxem, natchnienie mumią a objawiały się tylko ślady fizycznej siły twórcy. Znużyły się już zamknięte oczy i zwiśnię ręce, rzeźba z cieni skalistej, z grot Ellory wyrzała na świat, na słońce. Życie musiało mieć swój pomnik, któryby wyrażał zarazem siłę, ruch i wdzięk. Grek ukochał marmur, a miłość każda ożywia: tchnął więc w niego ducha i z kamienia uczynił ciało, piękne, giętkie, idealnie przejęte myślą. W złotem powietrzu helleńskim stanęła piękność wolna, śmiała, bez osłon i symbolów, samą czystością linii imponując i tłómacząc swój byt. Był to pierwszy, jeszcze czysty materializm w świecie sztuki, ale ten, materializm, co znaczy, piękną prawdę, a nie lubowanie się w efektach brzydoty i naciąganie wstrętnych rzeczywistości do estetycznej granicy. Nie każda rzeczywistość jest estetyczną prawdą, nie każda widzialność jest materialnem pięknem. Zbyteczną byłaby jakakolwiek granica istotnego piękna, gdyby z każdej szpetności można uczynić dzieło estetyczne, na mocy jej rzeczywistego istnienia w świecie, a więc zamkniętej w niej rzekomej prawdy. Pojęcia, różnice, granice i wspólne cechy prawdy i piękna, tak się do dziś już zmieszały chaotycznie, że stały się zaczarowaniem jakimś kołem, z którego niema jasnego wyjścia, węzłem, który zaciera się ciągle, dławi sztukę. Grek nie rozumował tak, jak my dziś, co rzeźbić nie umiemy, tylko mamy całe tomy teorii plastycznych; on bił dłutem w marmur, kierując się jedynie duchową potrzebą, tętniącą w całym narodzie. Cała Grecja była jedną rzeźbą. Czyny jej bohaterów są proste, swobodne, doraźne, jak wykute; jej tragedye są jakby pisane dłutem, zakreślone w szerokiach konturach, bez szczegółowej gry cieni i światła psychicznych, chodzą w prostych draperyach, a jedność czasu i miejsca przykuwa je, jak statuy do ziemi. Filozofia jest chłodna, bez wielkich uniesień ku górze, ku niebu, bez rozpaczliwych i tragicznych zwątpień późniejszych. Platon ma czoło pogodne, marmurowe, spokojne posągu i smętność nieruchomej choć pięknej rzeźby; Sokrates ze swą czarą jest jak pomnik kamiennej niezłomności i rozmyślenia, na którym wryto „poznaj samego siebie“. Epikur jest ziemski i trzyma się ziemi, także jak kamień.

Podstawa musi być silna, Grecja budowała podstawę sztuk pięknych; najpierw wzniosła świątynię, w świątyni ustawiła rzeźbę.

Stałem naprzeciw słynnej grupy Laokoona. Na pierwszy rzut oka doznałem zawodu, wydała mi się ta rzeźba za małą. Jest tam zaledwie wielkość naturalna, jeśli niemniej nawet. Patrząc dłużej, śledziłem myśl artysty. Niel tyle boleści nie można było pomieścić w kształtach zwycięzających, byłoby to zbyt okropne, zbyt zbliżone do możliwej szarpaniny człowieka z gadem; tu chodziło o idealny bój ducha z nieuniknionemi następstwami występku, tu walczy człowiek z swej słabej natury gorzkimi wynikami, które go oplatają fatalnemi splotami, zabijając z nim razem to, co wydało dobrego. Tu mogła być tylko wielkość nadnaturalna lub zmniejszona. Jabym wolał pierwsze. Mniejszość modyfikuje okropność, ale pocóż modyfikować wrażenie, kiedy ono w swym ogromie mogłyby zachować harmonię? Będąż się ja spierał z Grekiem? On musiał mieć słusznosć; mnie jednak ta rzeźba nie pokoi, gdy na nią patrzę, ale dłaczego, sam nie wiem, i wolę inne. Te węże są jak Eumenidy mścicielki, a Orestes mógłby się w marmur przemienić i byłby taksamo tragiczny i taksamo pełen prostoty, jak w tragedyi swojej, gdzie

także się wije w moralnych splotach. Grecy nigdy nie przesadzali; nie ponizali i nie exaltowali człowieka; czcili to, co jest, i trafili w jądro prawdy. Grecja była spokojna, nieśpiesząca się naprzód, zadowolona ze swego miejsca, wykuvająca swe stanowisko w dziejach głęboko i filozoficznie. Grecja była „tą rzeźbiarką, co wykuła“ piękność całą wieków przysłych. Dziś jest to urna klasyczna, pełna drogocennych popiołów, chłodna śmiertelnie, nieplakana już przez nikogo, podziwiana przez niewielu, zamykająca w sobie tajemnicę umarłego świata.

Szedłem między rzędami posągów. Tam Minerva patrzy dumnie, kryjąc zmarszczkę rozumu pod hełmem, w którym jej bardzo ładnie; tam amorek pochyla główkę ku marzącej Psyche, a ona się uśmiecha — tak im dobrze, myślą, kochają, umieją żyć! Motyl ich skrzydła trzepoczą się u ramion i nie wiedzieć, czy dusza porwie miłość, czy miłość duszę uniesie.

Tam w grupie Ganimeda orzeł chwyta pacholę leci z niem w górę, u stóp dziecka została fujarka i pies, ale chłopiec patrzy w niebo, w Olimp różowy, ciepły, rozkoszny. „Ten jeden szczęśliwy, kto umiera młodo“, pomyślałem sobie. Dalej widziałem prace Wielkiego Anioła; nie czyniły jednak na mnie tego spokojnego wrażenia, co poprzednie. Forma już nie wystarczała idei, wyłamującej się zpod nacisku materii, kipiącej wszystkimi stronami; nie mogąc uduchowić na swój sposób rzeźby, nie mogąc jej uczynić ani romantyczną, ani gotycką, jak to zrobiła z architekturą, myśl nowa, nie mogła się w niej pomieścić; kamień stał się za krótkim wyrazem dla świeżych idei słowo, które miało bujać, nie było w stanie wypisać się w marmurze, skrzydeł nie przypiąć do kamienia! To trudno; świat poszedł dalej i musiał marmurowe stopnie zostawić za sobą — nie,

„Nie była to już grecka kolumnada
Z której kaskadą światłość dzienna spada,
Lecz był świat inny, chrześcijański, nowy...”

Renesans nie był dla rzeźby odrodzeniem, ale jej powtórzeniem tylko, z różnemi, nowemi dodatkami, co o ile odejmowały jej spokoju i powagi, o tyle dodawały wdzięku, powabu, fantastyki. Co piękniejsze, trudno wiedzieć; ja także nie wiem, co mi się więcej podoba: jedno i drugie, ale każde inaczej.

Znużony patrzeniem, usiadłem w zacisznym miejscu galerii i zasłoniwszy oczy ręką, zadumałem się.

Spojrzawszy w moją duszę, ujrzałem nowosć. Dawno już tego nie było. Tam, na dnie, czułem spoczywający kryształ jakiś; cały, lśniący, dokładnie odcięty od mej dotychczasowej istoty. Chłodny był, jeszcze, nieruchomy i leżał w otchłani mego ducha, jak martwa perła, ale był. Odsłoniłem oczy i powiodłem wzrokiem po białych rzeźbach, co mnie otaczały, i czułem, że między niemi a tym nowym bytem w mej duszy jest ścisły związek. Zacząłem rozumieć, co się stało. Pusto było, wszyscy opuścili Muzeum, byłem sam; wstałem i poszedłem do owego słynnego „Króla Barbarzyńców w niewoli“ i na jego skutych rękach oparłem czoło. „A ja kiedy będę wolny? — pytałem — kiedy? kiedy, opadną ze mnie kajdany milczenia i znów będę wolny!“ Kamienny barbarzyńiec milczał; patrzyłem ku niemu do góry; stał nademną olbrzymi, dumny, niepodległy poczuciem fizycznej siły, w podniesionej piersi miał jeszcze pełny oddech zaczerpnięty na równinach Germanii, wzrokiem sięgał gdzieś daleko z tęsknotą, z upragnieniem, z bolesnym wysiłkiem. Ach, rozumiałem go dobrze..

— Ty olbrzymie wiecznie tu stać będziesz, twoje więzy są kute z tego samego, co i ty sam kruszcu, ale ja zaczynam się oswobadzać! W mej duszy wyrabiać się poczęła forma, co mnie zwolni, uderzę nią w ściany milczące i rozbiję więzienie!

Rzeźba położyła na moje rękę swoją i swem dotknięciem coś w mej myśli skryształizowała. Byłżeby to pierwszy kształt nowej poetycznej formy? Poszedłem do domu. Pokój mój zalany był światłem księżyca, przez okno dolatywał

szmer fontanny, ciskającej brylantowy deszczyk na zawsze tu zielone krzewy mirtu i pomarańcz, kropelki wody spadały lekko, rozbijając się metalicznie o kamienny basen, lub cichnąc na liściach roślin. Ten szmer ukolysał mnie.... O, nie tylko dzieci lubią być do snu kolysane! Słodko usypiać przy jakim melodyjnym, jednostajnym dźwięku, wówczas cierpienie się przycisza, tęsknota ustaje, myśl składa skrzydła, uczucie zwalnia ruch swój, dźwięki stają się czemś opiekuńczym, biorącym duszę pod swoją władzę. I szepczą jej — śpij, biedne, zmęczone, dziecię, śpij...

(Dalszy ciąg nastąpi).

BOŻY GNIEW

POWIEŚĆ HISTORYCZNA

przez

J. I. Kraszewskiego.

(Dalszy ciąg).

Cały wielki świat miał się tam znajdować, musiała więc być i ona. Zrana tegoż dnia jednak oświadczył jej mąż, ażeby którąkolwiek z pań zaprosiła do towarzystwa i z nią razem pojechała, gdyż on niepewnym jest, czy się tam będzie znajdować, lub później chyba nadjedzie.

Ułożywszy się więc z księżną Sapieżyną, która po nią przybyć miała, piękna Elżbieta, cała klejnotami okryta, i pomimo biadości i zmęczenia, dnia tego urocą jaśniejącą pięknością. — udała się na *collazione*.

Znajdowała się na niej królowa z całym dworem, wszystkie panie i żony senatorów, które się podówczas w Lublinie znajdowały—wielu duchownych i król też w towarzystwie kilku świeckich senatorów.

Pomysłne wiadomości, jakie z prowincji nadchodziły o gotującym się pospolitem ruszeniu, Jana Kazimierza wprawiły w tak wesołe usposobienie, w jakim na wielkich zgromadzeniach rzadko go widywano. Smielszym też był dla kobiet i bardziej nadskakującym.

Królowa, którą zabawiał Nuncyusz i liczne grono otaczało, nie miała możności śledzenia kroków jego, co może do swobodnego poruszania się przyczyniało.

Obchodząc wkoło panie, król w końcu zbliżył się do podkanclerzyny.

— Dziś pani jesteś—rzekł, witając ją—w całym blasku. Cieszę się tem — bo to znakiem, iż podróż jej się nie uprzykrzyła.

Piękna Elżbieta oczy na niego podniosła.

— A! jak to mylny sąd, N. Panie—rzekła—My, kobiety, zmuszone jesteście często się najweselej uśmiechać, gdy nas najwięcej serce boli.

Zatrzymał się król, obejrzawszy dokoła.

Przy Radziejowskiej siedziała tylko Sapieżyna, dla której ona tajemnic nie miała.

— Radbym się coś dowiedział — szepnął pochylając się król—ale...

— A! i jabym też rada była wielce poskarżyć się i poradzić. Potrzebuję tego pilno.

Król dał znak ręką, podszedł kroków kilka, obejrzał się dokoła szepnął coś Tyzenhauzowi stojącemu u drzwi i powrócił do podkanclerzyny.

— Mów pani śmiało—rzekł—druga się może zrzęcnosć nie nadarzy, potrzeba z tej korzystać.

Radziejowska rzuciła oczyma bojaźliwie dokoła, lecz wkrótce nabrała mężstwa.

— Życie moje—poczęła — staje się niewysłowioną męczarnią. Sądziłam w początkach, iż ją znieść potrafię lub zmiękczyć mego przesładowcę, ale męka przewyższa siły, a człowiek, który ją zadaje, nie ma litości — i zmienić się nie może.

Mam niezmiennie postanowienie rozstać się z nim—inaczej-by mi z życiem chyba się poze-

gnąć przyszło. Niech mi Bóg przebaczy, jeżeli go niesłusznie posądzam, lecz nie ledwie-by można wnieść z jego postępów, iż tak jak się od dwu pierwszych uwolnił—chce i ode mnie oswobodzić się—życie mi skracając.

— Na Boga! — przerwał król — cóż się stało nowego?

— Nowego! — podchwyciła podkanclerzyna—niema nic; życie się wlecze jak szło, coraz tylko nieznośniejsem się stając. Każdego dnia muszę cierpieć urągowiska, wymówki, pogróżki, lekceważenia... chociaż najmniejszego do nich nie daję powodu. Łzy wyplakałam, cierpliwość się wyczerpała—gniew i oburzenie biorą górę... Nie—nie! ja z nim żyć nie mogę... nie będę.

Król dał znak nagłący, aby mówiła ciszej, zaśpił się mocno.

— Niewymowna to boleść dla mnie słyszeć o tem pani postanowieniu, i to właśnie w chwili, gdy ja jej pomocą być nie mogę. Lecz zaklinam, zastanów się — czas i pora wiele znaczą. Wprawdzie — będzie on zmuszonym mi towarzyszyć—ale pod wszystkimi względami rzecz trudna do wykonania. Mogą być straty nieobliczone.

— Straty! — przerwała Radziejowska — ale ja je za nie ważę! życie i cześć moją ratuję. Nie wolnicą być nie mogę... Mam braci...

— Nawet przy ich pomocy—rzecz do wykonania trudna—odezwał się Jan Kazimierz—ale tu dłuższej o tem rozmowy prowadzić nie podobna. Jutro... u księżny—wskazał Sapieżynę, gdybym powracając z obozu ją zastał.

Podkanclerzyna z wdzięcznością pokłoniła się bardzo nisko, a król, na którego przedłużoną nieco rozmowę już zwracano oczy, natychmiast posunął się dalej i z panią wojewodziną lubelską począł wesołą pogadankę.

Szczęściem, w czasie tego epizodu podkanclerzego jeszcze nie było w klasztorze, ale jejmość pewną była, że mu doniesionem będzie, iż król z nią dłużej nieco rozmawiał. Radziejowski późno się tu zjawił, około nuncyusza i królowej naprzód zabawiwszy nieco, poszedł witać innych znajomych, a gdy naostatek przyszedł do żony—szepnął jej szydersko do ucha, że winszuje łaski królewskiej.

Z oburzeniem ruszywszy ramionami, podkanclerzyna nic nie odpowiedziała.

W domu Radziejowski wznówił o tem rozmowę i zyskał tylko odprawę pogardliwą. Rozeszli się, jak zwykle, podrażnieni.

O naznaczonej godzinie podkanclerzyna czekała już na przybycie króla u Sapieżyny, od wczora jeszcze rozgorączkowana, płacząca, na przemiany to odgrażając się na męża, to biadając na los swój nieszczęśliwy.

— Mój Adam mnie rozpieścił — mówiła—i ja, którą on na rękę nosił, com była panią i królową, której słuchano skinienia, dziś—dziś mam być w mocy takiego człowieka bez serca, bez sumienia, bez czucia! Możeż być los okropniejszy!

Księżna próżno starała się ją utulić i pocieszyć—podkanclerzyna exaltowała się swem nieszczęściem do tego stopnia, iż nic jej ułagodzić nie mogło. Dlatego tak obie wyglądały i oczekiwały przyręczonego przybycia króla, który nierzadko, sam jeden ze dwoma tylko dworzanami z pułku swojego, nadjechał konno.

Gospodyni wraz z podkanclerzyną wyszły na spotkanie przeciwko niemu. Jan Kazimierz wracał ze zwykłej lustracji w dosyć wesołym humorze, ale widocznie zakłopotany tem, iż tu wstępował, bo każdy krok jego rejestrowano. Mieśkanie Sapieżyny było na Grodzkiej ulicy, luźnej i na widoku, nie mogło się więc utaić, że się tu znajdował, ani jak długo miał zabawić.

Zaledwie na próg wstąpiwszy, Jan Kazimierz zwrócił się do Radziejowskiej.

— Mówmy, pani moja, o was, bo ja, na nieszczęście czasu nie mam a tylko-co niewiedząc, jak mnie kto i tu napędzi. Cóż się to dzieje? podkanclerzy przeciwie zdawał się rozumniejszym i powolniejszym? sam na tę podróż namawiał? Nie widzę powodu, dla którego by z niej miał być niekontent? Co go tak podrażniło?

Radziejowska rączki złożyła i załamała.

— N. Panie—rzekła z wielkim ogniem—któż może powiedzieć, że pana Radziejowskiego zro-

zumiał? Jest łagodnym i uśmiechającym się, gdy mu to potrzebne, gniewa się nazimno, jeżeli przez to chce komu dokuczyć lub nastraszyć. Wszystko u niego obrachowane, zdradliwe, niegodziwe.

— Człowiek ten budzi we mnie obrzydzenie, ohydę... ja żyć z nim nie mogę, ja uwolnić się muszę.

— Ale w jakież sposób się to stać może? — odezwał się król łagodnie—mówmy...

Księżna Sapieżyna, widząc, że rozmowy i naderady tej poufnej może być niewygodnym świadkiem, zwolna, niepostrzeżenie cofnęła się do drugiego pokoju, zostawując podkanclerzynę samą na sam z królem.

Drzwi pozostały otwarte.

Usiadł Jan Kazimierz i wskazał obok siebie krzesło Radziejowskiej, która je zajęła.

— Myślałem już o tem od wczoraj — mówił król—biorąc za rękę podkanclerzynę i wpatrując się w nią ze współczuciem wielkiem. — Ja też jestem tego przekonania, że z nim żyć nie możemy, bo-by to było, nie życie, ale niustanna tortura...

— Lecz chcieć się uwolnić od niego, nie mała rzecz i nie łatwa. Radziejowski ani was, ani mienia waszego łatwo z rąk nie wypuści. Prawo mu daje pewną siłę, u was jest jak u siebie w domu drzwi mu zamknąć nie możecie. Zechciecie ująć od niego—musicie mu na łup wszystko zostawić, a to jest rzecz nie mała. On zmarnuje i rozproszy wszystko, co nieboszczyk Adam przez całe życie zbierał i co wy lubicie i cenicie, jako pamiątkę po nim... może też wam swoją rajtaryą i ludźmi z Krytowa i Radziejowic pozajeżdżać folwarki. Wypowiedzieć mu wojnę, pani moja, to się potrzeba na wszystko przygotować co godziwe i niegodziwe, bo on *per fas et per nefas* przesładować i mścić się będzie, a na złe rozum ma!

Król mówił żywo, z wlepionymi w niego oczyma słuchała podkanclerzyna, a chwilami łzy jej się wmykały spod powiek.

— Pani moja — odezwał się Jan Kazimierz — zrywać z nim teraz nie radzę, —nie można; cierpicie jeszcze. Gdy, da Bóg, powrócimy z tej wyprawy do domu, potrzeba będzie obmyślić i przygotować środki, wybrać godzinę... abyście strat i przykrości mieli jak najmniej. Ja, z mej strony, przyrzekam wam jak najsilniejsze poparcie.

Co się tyczy królowej—dodał, spuszczać oczy i zniżając głos—co się tyczy królowej, lękam się, ażeby nie wzięła strony podkanclerzego, gdyż on bardzo jej nadskakuje... a ja, ja — przebaknął zmieszany nieco — ja, mnie... trudno będzie do królowej za wami przemówić—bo... wiem, że mnie posądza.

— Wszystko to tymczasem rzeczy są oddalone: dziś, świętej cierpliwości zażyć musicie—to moja rada i —nie zrywać, ani nawet dać mu się domyślać, że to nastąpić może.

Podkanclerzyna wysłuchiwała drżąc rad, które król z widocznym dla niej współczuciem wypowiadał... ale w końcu, wybuchnęła płaczem, który dotychczas powstrzymywała.

— Każdy dzień, każda godzina, z tym człowiekiem niewysłowioną jest dla mnie męczarnią. Zdaje mi się, że naumyślnie sili się na to i obmyśla środki, aby jaknajśrożej mnie utrapić. To, o czem wie, że mnie dotknie, obrazi—umęczy,—wybiera—litości nie ma, wstydu nie ma. Nieraz się przed domownikami własnymi rumieni muszę. Posądzenia, wymówki—życie moje przeszłe, moje szczęście... ma niustannie na ustach... W. Król. Mość słyszeliście o konterfekcie nieboszczyka, który z mego pokoju na strych wyrzucić kazał, ale tożsamo się dzieje z najdroższymi pamiątkami.

Dochodzi to do obrzydliwej swawoli. Chłopcy jego zabijają mi z jego rozkazu najulubiensze ptactwo moje, po pokojach z łuków strzelając. Nie mam szkatułki i schówki, w której-był coś ukryć mogła; odbija mi zamki, zabiera papiery. Do braci listów wysłać nie mogę, bo i te są podejrzane.

We własnym domu być na łasce sług przekupionych.

Radziejowska we łzy się rozplynęła—Jan Ka-

zimierz mocno przejęty, starał się ją pocieszyć i dodać męztwa.

— Nie może ta męczarnia trwać długo — dodał. — Pani, podkanclerzynie powracaj do Warszawy, a ja go zatrzymam przy sobie. Wystawił mi pułk rejtary, który chce prezentować, a oprócz tego nie zdaje mi się, aby obóz opuścił. Z obowiązku przy nas być musi. Masz więc pani czas wypocząć, namyśleć się, a nawet sprowadzić braci ku pomocy. Królowa — dodał, nieco głos znijając — nie wiem z pewnością, jak długo towarzyszyć mi będzie. Życzyłaby sobie być ze mną i ma męztwo po temu, ale panowie senatorowie słusznie są przeciwni, i ona więc do Warszawy powróci, a waćpani albo z nią, lub sama powinnaś też wracać.

— Dotąd — wtrąciła Radziejowska — nastawał na to i upierał się się, abym jechała. Jaki w tem cel miał i ma, niewiem. Trudno go zrozumieć. Być więc może, iż się i odjazdowi mojemu sprzeciwi, jeżeli mu to przeciw jego myśli.

— Cóż w takim razie? — zapytał troskliwy Jan Kazimierz.

Dumnie podniosła piękną główkę pani podkanclerzyna.

— Mam jeszcze garstkę ludzi własnych, mnie wiernych i posłusznych — rzekła — i gdy wydam rozkazy do wyjazdu — posłuchają mnie, nie jego. Zresztą ułożę tak w potrzebie odjazd, ażeby niewiedział o nim, lub się dowiedział za późno.

Rozśmiał się król niedowierzająco.

— Moja pani podkanclerzynie — odparł — nie pochlebiajcie sobie, ażebyście wy go mogli w czem ubiedz. Wie on, zdaje mi się, nie tylko każde słowo wasze, ale niemal myśl każdą. Postępujcie ostrożnie... a nadewszystko przed czasem mu się nie dawajcie domysleć tego, iż macie postanowienie się z nim rozstać. Gdy do tego nareszcie przyjdzie, będziecie musieli do klasztoru się udać, dopóki w Rzymie nie wyrobimy rozvodu. Sprawa ta pociągnąć się może, a tymczasem i dobra zabezpieczyć potrzeba od napaści i zmarnowania.

Wzdychała ciężko Radziejowska.

— Dyssymulujcie — mówił król dalej — chociaż ja to najlepiej wiem, jak trudno dyssymulować, gdy się ma wstręt i pogardę dla człowieka. W takim i ja jestem położeniu względem niego, bo zdawna mi jest wstrętnym, a narzuca mi się i nabija tak, iż go się niczem pozbyć nie mogę. Wie bardzo dobrze, jakie mam dla niego sentymenta, ale właśnie, aby mi się naprzykrzać i dojeść mi — nie odstępuję na krok. Próżno się odwracam, uchodzę, nie słucham i nie odpowiadam; zabiera głos, zachodzi ze wszech stron... naostatek, gdy sam już nie może, od królowej zleceń się do mnie podejmuje, aby mnie niemi i sobą męczył.

Widzicie kochana podkanclerzynie, że go znam, bo się tak ze mną, jak z wami obchodzi. Jedyna rada moja, dyssymulujcie... a ja też do czasu, znieść go muszę.

W ciągu tej narady poufnej, Sapieżyna była w drugim pokoju, gdzie z siostrzenicą swą rozmawiała i ani ona, ani król, ani wielce rozdrażniona pani Radziejowska, nie uważali i nie słyszeli, że pan podkanclerzy zawiadomiony pewnie o umówionem spotkaniu u Sapieżynnej, cicho podjechał konno w podwórze, wierzchowego oddał towarzyszącemu hajdukowi, na palcach niemal podkładał się podeszł, a potem nagle je otwierając z hałasem zwycięzcy, wpadł do komnaty, w której król siedział z panią podkanclerzyną.

Twarz jego szydersko, złośliwie się śmiała, oczki przymrużał i krokiem od niechęci, powolnym podszedł króla, który czerwieniał się, bladł i do najwyższego stopnia rozgniewany, upokorzony, dumną też i pańską przybrał postawę.

Radziejowska na widok męża, jak trup zbłądła, wiedziała, co ją czekało za to pochwycenie na rozmowie, która nawet świadka nie miała, bo Sapieżyna w chwilę potem dopiero głos obcy posłyszawszy, ukazała się na progu z siostrzenicą.

Podkanclerzy nie zwracając się do żony, podszedł z ukłonem do Jana Kazimierza.

— Szukałem wszędzie w. król. mości — rzekł —

bo pilne sprawy z kanclerzem czekają, królowa też dopytywała się, nie wiem jakim szczęśliwym trafem myśl mi przyszła tu zajrzeć.

— Ale ja wprost z monstry jadę — odparł król kwaśno — a niema minut kilku, jakem tu przybył, chcąc panią Sapieżynę odwiedzić. Mogliście się łatwo dowiedzieć o mnie, bo tajemnicy z moich przejazdów nie czynię.

Radziejowski śmiał się.

— Należała w. król. mości — począł ciągle sarkastycznie, a oczyma na żonę rzucając — należała choć chwila spoczynku po tylu fatygach od rana, około lustracji pułków.

Król nie nie odpowiadał.

— To się wie — mówił żywo podkanclerzy — co żywiej rozsyłać potrzeba, nie ma chwili do stracenia. Kozactwo Kalinowskiego napiera, a Chmiel pospiesznie na nas ciągnie, aby zebranie się pospolitego ruszenia uprzedził i pobił nas nim ono nadejdzie.

— Województwa zaś, wiadoma rzecz, nie bardzo terminu pilnować, i wymówki mieć będą dosyć.

— Pospolite ruszenie na piąty Czerwca — dodał Radziejowski — daj Boże, aby pod Konstantynów nadażyło, a tymczasem co z nami będzie...

Zagadywanie to — *de publicis*, jak gdyby tylko sprawę Rzeczypospolitej miał na sercu Radziejowski, w takiej było sprzeczności z jego twarzą i rzeczami, iż zwiększało króla rozdrażnienie.

Nie odpowiadając Radziejowskiemu podniósł się król, gniewny, zwrócił do gospodyni domu, która się właśnie ukazała na progu i pożegnawszy ją, równie swobodnie kilku słowami cicho wyrzeczonymi pożegnał podkanclerzynę, która nie zważając na złośliwe męża wejrzania, odprowadziła do progu, odchodzącego

Podkanclerzy, który, jak sam mówił, za królem gonił i szukał go tu dla spraw pilnych, zamiast mu teraz towarzyszyć, co się zdawało obowiązkiem, zawrócił się, odprowadziwszy do konia, nazad do mieszkania Sapieżyny.

Twarz mu promieniała zwycięstwem, zemstą jakąś podkarmionem, wiedział dobrze, że i Sapieżynie i żonie może dokuczyć, a to właśnie najpożądańszemu mu było.

Najpierw więc do Sapieżyny się obrócił, dziękując szydersko, iż była tak łaskawą, żonie jego miłe spotkanie z królem jejomością ułatwić.

Jejmość, charakteru nie łagodnego, opryskliwa a śmiała, napadła na niego z góry.

— Wstydzilibys się asindziej, panie podkanclerzy — zawołała — mnie posądzać, a żonie dojadać. Cóż to się tak strasznego stało, iż król u mnie ją zastał? albo to dziwna, iż Elżusia ma dla niego wenerację i wdzięczność, gdy to i waćpanu wiadomo, że gdyby nie król, nie miałaby po pierwszym mężu nic, a i waszmość byś się też nie obłowił!

(Dalszy ciąg nastąpi).

LIST Z ANGLII.

(Dokończenie).

Wystawa sprowadziła do Londynu mnóstwo Indyan, nie tylko mężczyzn, ale nawet i kobiet prezentujących się w świetnych narodowych ubiorach, bogato złotem haftowanych. Ponieważ w ostatnich czasach wielu krajowców weszło do cywilnej służby rządowej, jest ich też liczba pewna między kommissarzami wystawy, ale Niemniej znajduje się w Londynie podróżników więcej, niż się spodziewano, i na tym obcym gruncie spotykają się też przedstawiciele rozmaitych narodów indyjskich, wyznawcy rozmaitych wyznań. Obok mahometan, czciciele Bramy, a nawet czciciele ognia, bo w Bombaju istnieją potomkowie starych Persów, którzy się tu osiedlili, uchodząc przed prześladowaniem religijnem i do dziś dnia zachowują religią Zoroastra — lud piękny, niezmiernie dobroczynny, szlachetnych instynktów, i kto ich bliżej pozna — jak się to mnie udało — il-

lustruje sobie ich pięknymi postaciami poemat Moor'a. ¹⁾

W Londynie też dyskutują się teraz rozmaite wewnętrzne kwestye indyjskiego narodowego życia. Malowniczy ubiór indyjski zaczyna już to tu, to tam ustępować miejsce europejskiej sukni, zwłaszcza w tych klasach wyższych, gdzie z europejską cywilizacją i nauką poczynają się krzewić i europejskie obyczaje. Wice-król Indyi, lord Dufferin, usiłuje powstrzymać to nowatorstwo, załując malowniczo wspaniałych kostiumów indyjskich, ale takie rzeczy nierozstrzygają się przez żadną urzędową wolę. Uczony patriota indyjski Sinha, przemawiał w Londynie do bardzo licznego grona współziomków swoich za narodową szatą indyjską, dowodząc, że nie tylko miłość rzeczy swoich przemawia za jej utrzymaniem, ale są względy klimatu, które nie pozwalają przyjąć ubioru europejskiego. Ten źle-by służył w Indyach, jak tego doświadczają na sobie przybysze europejscy. Dowodził przytem, że za suknią pójdą nie tylko zmiany różne w obyczaju narodowym, ale w smaku, w obrazowości estetycznej: w całym państwie fantazyi. Można pewne zmiany poczynić, zbytek w ozdobach zmniejszyć, ale sukni narodowej nie zrzucić, bo wraz z nią porzuci się zarazem wiele duchowych stron życia swojskiego.

Drugi indyjski literat i człowiek wpływowy, Latmohun Ghose, odpowiedział na drugiem zebraniu, że suknia, to rzecz zewnętrzna, którą bez żadnej szkody dla duchowej, uczuciowej strony człowieka można a nawet należy zmienić, gdy się przeżyła, to jest, gdy nie odpowiada już potrzebom nowych prądów życia. Dawny strój indyjski nie da się zastosować do czynnego, energicznego życia, jakiego trzeba pragnąć dla Indyi, a które powinno wraz z odzieżą przeszłości usunąć zamilowanie w zbytku, w wystawności, w miękkości wschodniej, nie dającej zdobyć Indyanom tej dzielności, tej woli silnej, która każe duchowi panować nad ciałem. W każdym razie zmiana ta nie nastąpi zaraz, lecz Sinha ma słusność za sobą, że sprowadzi ona przełom w całym ustroju życia indyjskiego. Czy przeciw mógł by się on utrzymać i pogodzić z cywilizacją europejską która tam wkracza wraz z Anglikami, niosąc ze sobą europejskie pojęcia rodziny i moralności?

Indyjscy goście tak chciwie zwiedzają osobliwości Londynu, jak Anglicy ich wystawę i wszystkie teatra wyższego i niższego rzędu, usiłują przyciągać sobie tych gości, szczególnie czarodziejstwami europejskiej dekoracyjnej sztuki i baletami, obrazami ułudnych uroków. Angielscy teatralni przedsiębiorcy walczą też ze sobą, kto się zdobędzie na większe w tym kierunku efekta, a nie jeden z czytelników polskich nie uwierzy może, gdy napiszę, że Londyn posiada 28,000 ludzi, oddanych zawodowi scenicznemu, ma się rozumieć we wszystkich jego gałęziach, poczynając od aktorów grających Schakespeare'a, do skoczków na linie. Są to przecież wszystko teatralnej sztuce poświęcający się ludzie, i innych sztuką tą bawiący: professya ta liczy w całej Anglii 60,000 osób.

Jestto armia cała, a co w niej dzieci — aż żal pomysleć! Gust publiczności do pantominów i baletów, do czarodziejstwach obrazów, tak zwanych feeryi, wzmaga się coraz, zwłaszcza w sferach ludowych, ściągają te biedactwa na scenę od piątego roku życia i nie sądzić, żem się omylił w cyfrze. W „Music-halls“ dzieci tańczą i śpiewają w chórach od tego wieku. Osobliwie w czasie świąt Bożego Narodzenia pantominy i obrazy ze znacznym udziałem dzieci, są na porządku dziennym. Przytem jest wiele sztuk, gdzie dzieci uczynają występować i, co więcej, zarabiać niemal w kołysce, a takie dziecko już jest jakgdy naznaczone przez siłę wyższą do aktorskiego życia, bo je ciągnie do niego pożądanie zarobku, które się w niem i w rodzicach rozbudza. Jest sztuka bardzo w Anglii popularna, przerobiona na scenę ze sławnego amerykańskiego romanu

¹⁾ Czcciele ognia, posiadamy jego bardzo piękny przekład Odyńca.

„Chata wuja Tomasza,“ w której dziewięcioletnie dziecko, przenoszone na rękach aktorki, jakoby jego matki, przez scenę, przedstawiającą lodem ściętą rzekę, zarabia grosz nie do pogardzenia. Jest też sztuka inna, również bardzo lubiona, w której występuje małeństwo, ledwo że mówić zaczynające, i za wymówienie w sztuce słodkim dziecięcym językiem dwóch wyrazów: „My Sweetheart“ (Moje kochanie, moje słodkie serce) zarabia przy trupie, wystawiającej sztukę, dwa funty, to jest: dwadzieścia rubli tygodniowo.

Takie dziecko już się sceny puścić nie chce, nawet nie przez pragnienie zarobku, ale przez zamiłowanie, która staje się często namiętnością, i biedna cyganerya dziecienna, która się z tych małych aktorów wytwarza, może ścisnąć serca ludzi, mających choć trochę uczucia miłości bliźniego. To też w Anglii, która jest krajem może najwyższej rozwiniętego miłosierdzia publicznego, nie mogła się ta małaletnia nędza ostać bez pomocy dobrych ludzi i tak, jak istnieje tam „Chrześcijańskie stowarzyszenie młodzi męskiej,“ „Chrześcijańskie stowarzyszenie młodzi żeńskiej“ („Young Men's Christian Association,“ „Young Women's Christian Association“), tak założono prawdziwie chrześcijańskie stowarzyszenie opieki nad młodzieżą, oddaną zawodowi scenicznemu. Miało to miejsce w r. 1873 i historia jest prawdziwie romantyczną. Założycielem jest ksiądz anglikańskiego kościoła Courthorpe Tood i któremu to dzieło świętego miłosierdzia zaszło drogę w prostym znaczeniu tego wyrazu, a zaszło mu ją wśród ciemności nocy, z jękiem i płaczem, wzruszającym serce.

Nie był on jeszcze księdzem, sposobił się właśnie do zdania egzaminu potrzebnego do stanu duchownego, i raz, a było to w Londynie, wracał do domu późną nocą od kolegi, z którym razem odbywał studia teologiczne, gdy bardzo młoda kobieta zaczęła go prosić o jałmużnę. Nie wyglądała na żebraczkę, głos jej drżał, a zapytana, jak może w tym wieku, zdolnym do pracy, żebrac — zalała się łzami. Była aktorką w jednym z teatrów londyńskich i to na West-End, ale grywała bardzo podrzędne role, i zarabiała od 10—15 szylingów tygodniowo. Mieszkała też w małym pokoiku na przedmieściu, ztąd musiała chodzić pieszo w dzień na próby, wieczorem na przedstawienia i potem wracać także pieszo, w zimno czy w deszcz, w nocy. Jej towarzyski, tej co ona podrzędnej pozycji, były wszystkie taksamo jak ona ubogie. Ona miała jeszcze rodziców, ale daleko, na wsi; wzięto ją od nich do teatru, gdy miała lat dziesięć, lecz wtedy było jej lepiej, rozciągano nad nią jakąś opiekę, nie nosiła jak teraz głodu i chłodu, opuszczenia, samotności.

Młody ksiądz zadumał się nad ciężkim losem tej młodości, nad niebezpieczeństwami takiego życia i wziął sprawę do serca. Przekonał się, że przy wielkim wzroście sztuki teatralnej, przy wielkiej liczbie teatrów i teatryków, wyrobił się liczny proletaryat aktorski tem nieszczęśliwszy, że często w wieku niemal dziecięcym bez opieki zostawiony, na co przecie nie było rady. On to doszedł, że dzieci w piątym roku są zabierane na użytek sceny, że setki, tysiące takich istotek chowa się bez żadnej edukacji moralnej i zawiązał stowarzyszenie opieki nad temi sierotami społecznymi—opieki, któraby im dostarczała środków do umysłowego i duchownego kształcenia, któraby było ręką miłosiernie wyciągniętą ku upadającym—k któraby głównie dawała siły, aby poślizgnięcie i upadek ten nie miał miejsca. Prócz umożliwionej nauki i religijnych wpływów, stowarzyszenie przynosiło i pomoce inne. Stowarzyszenie to, „Teatralnej Missyi“ założyło przy jednej z ulic Londynu (King Street-Covent Garden) dom swój, gdzie stowarzyszone aktorki znajdowały dla chwil odpoczynku dach gościnny, pożywienie możliwie tanie, towarzystwo wspólne, książki i inne uczciwe środki rozrywki, i gdzie zawsze mogły się spotkać z ludźmi dobrej rady, gdy jej za potrzebowały: z opieką, jakoby macierzyńską.

Wkrótce ten „Home of theatrical Mission“ stał się za szczupły; groszem składkowym, a staraniem zacnych kobiet (z lady Aberdeen na cze-

le) zbudowano i urządzono już specjalnie drugi dom dla stowarzyszonych na Henrietta-Street pod nazwą „Macready House“ i obecnie każda, która tego chce, kobieta professy scenicznej: aktorka, baletniczka, śpiewaczka, od najmłodszego dziecięcego wieku posiada w Londynie jakieś miejsce, gdzie w każdej chwili życziwie i przyjaźnie może być przyjęta—miejsce choć cośkolwiek podobne do ogniska rodzinnego, do domu rodzicielskiego z jego opieką i dobrą radą. Gdy tam zaszedł, aby dobroczynny ten zakład obejrzeć, trafiłem na chwilę, gdy tłum młodych dziewczyn i dziewczynek, dzieci, przybył z próby jakiegos wielkiego teatru, aby tu odpocząć, a drugi, podobny, szykował się iść w swoją drogę na przedstawienie południowe. Było to grono wesołe i ładne, nie w niem nie zasmucało, nie nie wróżyło im nieszczęśliwej i złej drogi życia. A jakie grzeczne były, jak się ukłoniły mi ładnie! Szczególnie wzruszało gronko dziewczeczek, mających nie więcej nad lat dziesięć, dziewięć. Były i młodsze.

Zaszedłem do dyrektorki i dyrektora zakładu: księdza Todd i jego żony. Od nich dowiedziałem się szczegółowo całej historii. Obecnie stowarzyszenie liczy 6,000 członków, płacących składki i dających Missyi Teatralnej swoją pracę. Oprócz przyjmowania pod opiekę dziewcząt, zgłaszających się o to, stowarzyszenie przybywa niekiedy z pomocą aktorkom zagrożonym, jakimś wypadkiem, lub chorobą, biedą. Od pewnego czasu stowarzyszenie działa i listownie. Raz dowiedziano się o baletnicze w położeniu bardzo nieszczęśliwym, że lękano się samobójstwa, napisano dla pośpiechu list z obietnicą pomocy. Nieszczęśliwa natychmiast się zgłosiła o nią sama, i od tam używa się najogólniej tego środka. Pań stowarzyszonych, zajętych pisaniem listów, jest w obecnej chwili tysiąc. Zawiadamia się o istnieniu, celu i zamiarach stowarzyszenia każdą nową, w skład teatralnego ciała wchodzącą aktorkę; pisuje się do znajomych już; prowadzi się korespondencję z młodemi chórzystkami, z rodzicami lub opiekunami dzieci z baletu i pantomin. Kilka tomów wielkich ksiąg mieści adresa do tej korespondencji potrzebne. Jest też kilkaset pań i panów, którzy pukają do drzwi pewnych osobistości teatralnych ze słowem rady, wskazówki w jakiejś potrzebie, o której się missya dowie, lub z datkiem nawet.

„Macready House“ jest to z jednej strony jak gdyby klub aktorek, z drugiej, jak przytułek i port ratunku w potrzebie. Istnieje przytem tak zwany „ul“ (Hive) kilkanaście pokoiów dla tych, które chcą tu zamieszkać stale.

Jest tu jeszcze „gniazdko“ (Nest) przytułek samotnych dzieci, połączony ze szkołą dla przychodnich, z miejscem rozrywki dla wszystkich, które się kierunkowi missyi poddały. Ogród jest tu ładny i wogóle wszystko miłe i pociągające. Trzeba walczyć niekiedy z bardzo potężnymi wpływami odciągającymi—należy więc aby była odpowiednia siła atrakcyj.

Wracając do wystawy dodać wam trzeba na zakończenie, że w pierwszym tygodniu zwiedziło ją 128,071 osób. W dniu ludowego wejścia było przeszło po 20,000 dziennie.

F.

Korrespondencja zagraniczna.

Lwów w Maju 1886 r.

Pożar Stryja. — Odbudowanie miasta. — Inne pożary. — Próba ogniotrwałej odzieży wynalazku inżyniera Szalla. — Jubileusz prezesa „Gwiazdy“ Mieczysława Darowskiego. — Kartony Matiejki na fryz auli politechniki lwowskiej. — Czytelnia niewieśc i. — Stowarzyszenie w pracy kobiet. — Nauka kucharstwa. — Kuchnia dla króla Rumuńskiego. — Śpiewnik prof. Czubskiego. Wydanie pośmiertne poezyi Maryi Bartusówniej.

Pożar miasta Stryja, z powodu niesłychanej gwałtowności i rozmiarów, jakie przybrał, sprawił kłeskę o jakiej trudno zrobić sobie wyobrażenie, nie będąc świadkiem naocznym dokona-

nego zniszczenia. Ani pożary Rzeszowa i Zmi-grodu przed laty, ani późniejszy znacznie pożar Stanisławowa, który większą część miasta pochłonął, nie mogą się równać z kłeską pożaru Stryjskiego. Dosyć powiedzieć, że całe miasto niemal poszło w perzynę i kilkadziesiąt ludzi zginęło pod zgliszczami. Rzecz prawie nie do uwierzenia, zważywszy, że ogień wybuchł w dzień biały, około drugiej z południa; nikogo zatem nie zachwyił we śnie. Ale gnane wiatrem fale ognia ścieły się po wszystkich ulicach i zagradzały drogę uciekającym. Tem się tłumaczy, że tyle ludzi zginęło w płomieniach. W parę godzin tysiąc kilkaset rodzin, około siedmiu tysięcy osób, pozostało bez dachu i chleba, zmuszonych przepędzać dni i noce pod gołym niebem, na zimnie i śnieżycy, dopóki część się nie rozjechała kolejami, przewożącymi bezpłatnie pogorzalców szukających przytułku w różne strony, a dla reszty nie sklecono naprędce baraków, na jakie takie tymczasowe schronienie. Niezwykła kłeska, niezwykle też wywołała spółczucie. I znów sprawdziło się powiedzenie poety: „Nie zli są ludzie.“ Z kraju i z za granicy posypały się hojne datki, nachodzące codziennie do zawiązanego tu krajowego komitetu, zajmującego się sprawą pogorzeli i odbudowania miasta. A chociaż wobec ogromnej kłeski, obliczonej na kilka milionów, ofiarność prywatna wystarczaby nie mogła na zagojenie ran poniesionych, to gdy dołączy się do tego pomoc w drodze pożyczki bezprocentowej z funduszy publicznych, udzielona przez Radę Państwa i projektowana pożyczka loteryjna. Stryj odbuduje się wkrótce, w sposób odpowiedniejszy wymaganiom dzisiejszym i okazałej, niż przedtem.

Grono techników rządowych i krajowych zajmuje się wykończeniem planami systematycznej odbudowy miasta. Tymczasem odkomenderowany na cały miesiąc umyślnie na ten cel do Stryja oddział pionerów wojskowych, zajęty jest urządzeniem zgliszczów, zpod których niestety, ciągle jeszcze wydobywają spopielałe zwłoki ludzkie.

Nie ochłonęliśmy jeszcze zpod wrażenia tego pożaru, gdy nadniósł telegraf podobnejże treści wieść o pożarze Liska. Wprawdzie wyrządzone tam szkody nie doszły do tych rozmiarów, co w Stryju; wszelako i to miasto zniszczone prawie ze szczętem. Obecnie więc napływające na pogorzalców składki, dzieli komitet ratunkowy, w miarę potrzeby i życzenia ofiarodawców pomiędzy pogorzalców obu tych miast.

Już to wiosna tegoroczna obfituje u nas w pożary. Szczególniejszym zbiegiem okoliczności równocześnie z pożarem Stryja i Liska, paliło się w Tyśmienicy, Jarosławiu i innych kilku pomniejszych miastach. Pod wrażeniem strasznej kłeski Stryja, wiadomości te przybierały groźniejszy jeszcze kolor i podejrzowano nawet, czyli wszystkie te pożary nie pochodzą z jakichś spólnie ukartowanych zbrodniczych planów, będąc skutkiem umyślnego podpalenia. Wszelako najściślejsze dochodzenia przekonały, że zbiegły się one tylko przypadkowo w tej samej porze z winy nieostrożności, lecz bez złego zamiaru.

Potrzeba wywołać wynalazki. Groźne pożary lat ostatnich, począwszy od pożaru Wiedeńskiego Ringteatru, zwróciły uwagę techników na udoskonalenie środków ratunkowych. Między temi odznacza się pomysłowością i skutecznością wynalazek inżyniera Wiedeńskiego Szalla, który sporządził odzież ogniotrwałą, pozwalającą mu przebywać w płomieniach bez niebezpieczeństwa. Szall produkował się z swym wynalazkiem po różnych już większych miastach, a obecnie przybywszy do Lwowa, urządził tutaj taką samą próbę, z której cały dochód przeznaczył na pogorzalców Stryjskich. Ciekawe w swoim rodzaju to widowisko odbyło się na Kortumówce, folwarku fundacyi Skarbkowskiej, położonym w ślicznej okolicy w pobliżu Lwowa. W rozkośnej dolinie, otoczonej z trzech stron wzgórzami, ocienionymi drzewami parku i laskiem, ustawiono sześć stosów wysokości piętrowej smolnego drzewa, pozostawiając pomiędzy stosami wązkie przejście. Posypano je wiórami i polano naftą, a gdy płomienie buchnęły z całą gwał-

townością, oświecając wspaniałe wieczorną panoramę w porze zachodu słońca. Szall wszedł w płomień w swej ogniotrwalej tej odzieży i przebywszy, jak Salamandra w swoim żywiole około pół godziny w płomieniach, jął się do gaszenia ognia i zgasił płomień w przeciągu kilku minut, poczem zdrów i rzeźki, a tylko cośkolwiek osmolony powierzchownie, wrócił pomiędzy widzów, zjednując sobie powszechny podziw i grzmiące salwy oklasków. Publiczność zgromadziła się licznie na widowisko połączone z przechadzką w pierwszy w tym roku dzień prawdziwie wiosenny. Prezydent miasta, reprezentanci wydziału krajowego, wielu wojskowych, falanga dziennikarska i cała miejska straż pożarna w ordynku była obecna na tej próbie. Oprócz publiczności, zajmującej płatne miejsca w pobliżu próby, roily się grzbiety wzgórzów, otaczających dolinę tysiącami widzów, przedstawiających malowania w oddali panoramę. Co do samego wynalazku Szalla jest on niezaprzeczenie bardzo dowcipnie obmyślany, ale czy w praktyce mógłby się okazać równie skutecznym, jak przy próbie, to pytanie, które o wartości jego rozstrzygnie. Cała rzecz należy na tem, że odzież Szalla, zabezpieczająca go od płomieni, jest podwójna. Część wewnętrzna przylega do ciała, część zaś wierzchnia jest dziurkowana. Przymocowany do odzieży wąż połączony z sikawką doprowadza nieustannie zimną wodę pomiędzy wewnętrzne przeguby odzieży, podczas gdy woda ocieplona odpływa nieustannie dziurkowaną jej powierzchnią, nie dopuszczając do niej ognia. Równocześnie z sikawką wprowadzony w ruch miech dostarcza za pomocą takiego węża powietrza do oddychania. Dopóki sikawka i miech działają prawidłowo, dopóty nie ma niebezpieczeństwa; gdyby jednak połączenie człowieka z ogniem się znajdującemu z dostarczającą wody sikawką, lub miechem dostarczającym mu powietrza przerwane na chwilę zostało, co w zgiełku pożarnym, gdzie o przerwaniu węzów nie trudno, stać by się mogło, natenczas byłby zgubiony. W tem leży trudność zastosowania wynalazku, który wszakże w ramach, gdzie idzie o uratowanie ludzi z pośród płomieni bardzo może się okazać zbawiennym.

Mieliśmy uroczystość, która się wdzięcznie zapisała w pamięci obecnych. Stowarzyszenie rzemieślnicze „Gwiazda” postanowiło uczcić zasługi swego wieloletniego prezesa i założyciela sędziwego Mieczysława Darowskiego. Kto jest Darowski wiedzą wszyscy Lwowianie. Jest to postać powszechnie tutaj znana i poważana, ze względu wieloletniej pracy na polu spraw publicznych, od których się nigdy nie usuwał, skoro były w uczciwym celu podjęte i mogły przynieść pożytek społeczeństwu. W r. 1848 nadane krajowi prawa konstytucyjne otworzyły szerszy zakres autonomiczny czynności obywatelskiej, pierwszy Mieczysław Darowski zakrzętał się około moralnego podniesienia lwowskiego rękodzielnictwa i wówczas już wraz z kilku innymi dzielącymi jego zapatrywania, zawiązał stowarzyszenie „Gwiazda” mające na celu rozpowszechnienie pomiędzy czeladzią rzemieślniczą oświaty i moralności. Wkrótce pod wpływem okoliczności przestała istnieć ta pierwsza „Gwiazda”, a miejsce jej zastąpiło w dziewięć lat później, w tych samych celach i z tą samą dążnością, lecz z odmienną organizacją zawiązane Stowarzyszenie „Skała.” Nie przeszkodziło to wszakże Darowskiemu wznowienia po kilku dalszych latach pierwotnej „Gwiazdy”, która stała się ulubionym dzieckiem jego myśli i starań. Jemu to zawdzięcza ona przeważnie dzisiejszy swój rozwój i stanowisko; jemu, że nie zboczyła nigdy z drogi wskazanej statutami, że wśród wiru prądów socjalistycznych, zaczynających zgubnie oddziaływać na niektóre u nas warstwy społeczne, pozostała wierną uczciwym przekonaniom, idąc za głosem swego ukochanego prezesa i kierownika. Dzięki staraniom Darowskiego Stowarzyszenie posiada już znaczny stosunkowo majątek, swój własny gmach okazały, kasę oszczędności i zaliczkową, fundusz emerytalny, fundusz zapomogi wdów i sierot, szkołę nauki elementarnej i rysunków, co zimy szereg popular-

nych wykładów rozmaitej treści w niedziele i święta, swoją biblioteczkę, czytelnię, gimnastykę, wreszcie scenę, na której odbywają się od czasu do czasu przedstawienia amatorskie, na korzyść Stowarzyszenia, lub na inne pożyteczne i dobroczynne cele, w zapusty zaś nawet zabawy tańczące i maskowane w gronie członków Stowarzyszenia. Tym sposobem „Gwiazda” przyczyniła się potężnie nie tylko do umysłowego wykształcenia tutejszych sfer rękodzielniczych, ale także do ich, że się tak wyrażę, towarzyskiego uszlachetnienia. Za tyle owocu, czyż nie należy szczerą wdzięczność i uznanie. Jakoż obok licznie zgromadzonych członków „Gwiazdy” przybył na uroczystość prezydent miasta Dąbrowski, reprezentanci Rady miejskiej, kurator rękodzielniczego Zakładu Drohowyskiego Henryk hr. Skarbek, tudzież grono przyjaciół i znajomych. Rozrzucająca była scena, gdy ośmdziesiątletni starzec odbierał pełne czci i miłości, życzenia rozmaitych deputacji rękodzielniczych, na które młodzieńcem ciepłem odpowiadał, zagrzewając młodzież rzemieślniczą do pracy, moralności i wytrwałości w obranym kierunku. Uroczystość rozpoczął przemową wiceprezes „Gwiazdy” krawiec Głodziński, ofiarując imieniem Stowarzyszenia jubilatowi wieniec laurowy, przybrany stosownymi godłami. Następła kantata odśpiewana przez chór „Gwiazdy” poczem Platon Kostecki odczytał zastosowany do okoliczności piękny serdeczny wiersz, który oddano jubilatowi na pamiątkę tej pięknej uroczystości, podpisany przez wszystkich obecnych.

Na wystawie nieustającej sztuk pięknych oglądaliśmy szkice Matejki, obejmujące szereg kompozycji, przeznaczonych do ozdobienia fryzy auli tutejszej politechniki. Wiadomo, że artystycznym udekorowaniem tejże auli zajmują się uczniowie Krakowskiej szkoły sztuk pięknych według wskazówek mistrza. Uzupełnieniem tej w pięknym stylu dokonanej ornamentyki, będą obrazy, a fryzie podług rzeczonych szkiców wykonane. Jest ich jedenaste, tworzących całość, zawarta łącznie w nich myśl zasadnicza, wiąże z sobą wszystkie te grupy allegoryczne, przedstawiają wybitne znamiona rozwoju ludzkości, te złe i dobre wpływy, które ją wiodą do upadku i z tego upadku podźwigają i uszlachetniają. Pierwszy obraz wyobraża *natchnienie*, jako pierwiastek wszelkich podniosłych, moralnych dążeń ducha ludzkiego, w postaci młodzieńca, unoszącego się w obłokach, otoczonego girlandą główek anielskich. Po nad głową młodzieńca unosi się Duch święty a powyżej z obu boków Bóg Ojciec i Chrystus z koroną cierniową w ręku, jako symbol, że źródłem wszelkiego natchnienia jest religia i cierpienie. Siedm promieni, wyobrażających siedm łąk Bożych, tworzy aureolą obrazu.

Szkic drugi przedstawia *Ludzkość* w postaci młodzieńca dźwigającego na barkach kulę ziemską. Trzy upostaciowane cnoty chrześcijańskie, wiara, nadzieja i miłość, towarzyszą pielgrzymce młodzieńca. Z drugiej strony siedm grzechów głównych, tworzących grupę symboliczno-karakterystyczną, usiłują sprowadzić go z drogi, na manowce pokus wszelakich.

Zwędnicze ponęty odniosły tryumf chwilowy. W następnych szkicach widzimy skutki tego upadku w przerażającej grozie. Wszystko, co wpływa na znikczemienie i rozbastwienie społeczeństwa, szalone orgie materializmu, na tle spruchniałej cywilizacji, morderstwo, rozpusta, pożoga, nihilizm, złożyły się na ten *tryumf szatana*, który wszakże dosięgnąwszy swego zenitu, niewczy sam siebie. Nihilista zniszczywszy wszystko, w rozpaczliwym zapędzie zabija sam siebie, a szatan pogardliwie z śmiechem rozkosznego zadowolenia depcze samobójcę.

Łaską Boga Rodzicy podźwiga się ludzkość z upadku. Jest to jeden z najpiękniejszych pomiędzy temi szkicami. Z tronu Boga Rodzicy na wysokościach biją promienie łaski, ogrzewające ludzkość, szatan korzy się u stóp jej zwalczony, a starcy i młodzież dażą z ufnością i religijnym namaszczeniem ku swjej wybaczieli.

Następne kartony przedstawiają błogie owoce moralnego odrodzenia i wskazują one potęgę duchowe, będące źródłem uszlachetnienia ludzko-

ści. Sztuki piękne opromieniają drogę jej postępu, a wiedza dokonuje dzieł, na których się opiera dobrobyt powszechny i cywilizacja. Poezya, muzyka i historia, tworzy jedną grupę, drugą malarstwo, rzeźbiarstwo i architektura. Na trzech ostatnich kartonach widzimy upostaciowaną allegorycznie *siłą pary*, poruszające koleje żelazne, przebiegające przez okolice, bogate przemysłem, na drugim symbolizowany wynalazek *telegrafu*, na ostatnim, jako największe dzieło wiedzy technicznej najnowszych czasów *Przekop Suezki*, po przez który podają sobie dłoń bratnią do uścisku Murzyn z Europejczykiem.

Skreśliliśmy pobieżnie treść kompozycji, wskazawszy jej myśl przewodnią, ale różnorodność i bujność pomysłów, w które ją przywdziała, fantazyja mistrza, opisać się nie da. W świecie allegoryi, lubuje się Matejko tak dalece, że nawet w obrazach historycznych często wiąże z nim treść swych kompozycji. Tutaj miał otwarte pole rozwinięcia nieprzebranych zasobów swej twórczości, z czego też skorzystał w pełnej mierze. Wykonane według tych szkiców obrazy przedstawiają się dopiero w całym swym przepychu, gdy je ożywi właściwy koloryt i wszystkie drobniejsze szczegóły do całości na odpowiedniej przestrzeni dostroją.

(Dokończenie nastąpi).

Kronika działalności kobiecej.

— Kurs nauki koronek w Piotrkowie rozpoczął się d. 1-go Maja. Uczennic jest 14.

— Szkoła koronkarstwa w Zakopanem założona (1883 r.) i utrzymywana z funduszków krajowych, miała w roku szkolnym uczennic 55; z tych najmłodsza w wieku lat 9, najstarsza 20. Przewodniczką szkoły jest p. Józefa Stalzer, osoba wysoko w kunszcie swym uzdolniona, jak tego dowodzą roboty już bardzo wykwiutnych koronek, wykonywane w szkole. Pomocnicą w kierowaniu szkołą jest Anna Ustupka, była szkoły uczennica. Wiemy, że Zakopane jest to miejscowość wysoko już w Tatrach położona, zatem klimat jest tu w zimie bardzo surowy, a przystęp, zwłaszcza w czasie śniegów, bardzo trudny, jednak uczennice przybywają do szkoły z już daleka, jak to podaje korespondent „Gazety Warszawskiej”, który przebywając zeszłego lata w Zakopanem szczegóły te na miejscu zbadał. Uczennice szkoły przybywają do niej na naukę z doliny Kościeliskiej, z Poronina, to jest z miejsc odległych o milę naszą, i przeszło o pół mili. A gdy się pomyśli, że śnieg w zimie bywa nieraz pokolana, że przebycie mili takiej drogimusi trwać co najmniej półtorej godziny, że w zimie trzeba wychodzić z domu, gdy jest jeszcze szaro, wracać tam po sześciu godzinach już też o zmierzchu i czynić to co dzień—trzeba podziwiać niepojęty prawie hart i wytrwałość tych dziewcząt, oraz wzruszać się nad ciężką dolą życia, które do takich wysiłków zmusza dla zarobku—wcale nie wysokiego.

Dla tych warunków klimatycznych szkoła daje uczennicom półtora miesiąca wakacji w czasie dni najkrótszych i śniegów najprzykrzejszych, to jest od 1-go Grudnia do 15-go Stycznia.

Każda z dziewczynek po 6-tygodniach już cośkolwiek zarabia najwyższy przeciętny zarobek dzienny nie przechodzi 50 centów, co przy dzisiejszym kursie znaczy 80 groszy. Przeciętny zarobek jest 40 cent w. Nie jest to jeszcze w koronkarstwie zarobek niski, bo szkoła po macierzyńsku — jak pisze korespondent—dba o pomyślność uczennic. Aż dotąd sprzedaje się na miejscu wszystko, co szkoła wyrobi, ale przedstawia się w niedalekiej przyszłości trudna kwestya zbytu drogą kupiecką. Szkoła wyrabia bardzo piękne koronki: „Point de Venice”, „Duchesse”, „Alençone” z gatunków droższych; oraz tańsze koronki „Idria” przytem klockowe które są najtańsze już i najpospolitsze. Korespondent widział w szkole kołnierzyk i mankietki „Point

de Venise“ sprzedane za 30 zł., co jest prawie za pół ceny tego, co by trzeba dać w sklepach, na przykład Wiedeńskich. Przedstawiono mu także do obejrzenia koronkę: „Point de Venise“ szerokości 12 centymetrów, wykonywaną właśnie na zamówienie hr. Potockiej z Krzeszowic przez piętnastoletnią robotnicę, po 12 guldenów metr.

— Kobięce malarstwo, stosowane do przemysłu rozwija się u nas można powiedzieć pomyślnie w stosunku do warunków miejscowych. P. Poświk, Rodziejewicz, Miniewska mają pracownie, gdzie wykonywają się na zamówienie malowidła na porcelanie, szkle, drzewie, kości, jedwabiu, aksamicie i gdzie uczennice pobierać mogą lekcje pojedynczo, lub w zbiorowych kompletach. P. Poświk utalentowana i inteligentna artystka uczennica Gersona, co już jest rękomią, że rysować umie, miała u siebie (Żórawia Nr. 21) przez całą zimę ciągle lekcje zbiorowe, w komplecie 6 osób, bo szczupłość lokalu nie pozwoliła na kompleta większe. Lekcje te — 4 godziny tygodniowo, płacą się po 8 rs. miesięcznie. Szkoda tylko, że uczennice niemal w ogóle nie zyczą sobie nauki na zasadzie rysunku z wzorów, ale chcą się uzdolnić jedynie na kopistki z kalki. P. Poświk obrała dla własnego swego pendzla specjalność malowania kwiatów, owadów i ptaków, które mieści wyłącznie na tle naszej ojczystej natury. Wygotowała album cały z życia ptaków, ale u nas dla braku odpowiedniego zakładu litografii, wyjść to nie mogło. Trzebaby się zwrócić z wydawnictwem do Lipska, co przecież wymaga 1,200 rs. nakładu. P. Poświk daje również lekcje na mieście po 10 zł. godzina. Ktoś mógłby przecież urządzać u siebie komplet. Ona to uczy malowania na porcelanie w *Zakładzie Pracy Kobięcej* p. Korycińskiej.

P. Józefa Rodziejewicz uważana za najzdolniejszą u nas kopistkę, daje podobnie lekcje w kompletach i pojedynczo. Jej malowidła na porcelanie odznaczają się artystem wyższego znaczenia. Szafka z okazami jej prac, które wykonywa na zamówienie, wystawiona na Nowym Świecie, podaje adres jej zamieszkania.

P. Izabella Miniewska obęła po p. Żubińskiej zakład nauki malowania i prowadzi go z powodzeniem (Królewska Nr. 27). Od Września roku zeszłego do 1-go Czerwca roku bieżącego miała ciągle urządzone u siebie lekcje zbiorowe w komplecie 12 uczennic, po dwie godziny trzy razy na tydzień, za opłatą 10 rs. miesięcznie. Prócz tego miała dwie lekcje dwugodzinne na mieście po 2 rs. za lekcję, czyli 1 rs. za godzinę. W zakładzie lekcya pojedyncza dwugodzinna po zł. 10 za lekcję. Obok tego zakład przyjmuje na zamówienie malowanie na porcelanie, szkle, drzewie, kości, na jedwabiu i aksamicie, wykonywanie portretów z fotografii. Ruch zamówień tych był w zakładzie przez rok cały bardzo pomyślny; wielki piec, wypalający owe malowania, trzeba było często rozpałać dwa razy tygodniowo. Zakład nietylko już utrzymuje się na warunkach odpowiedniej korzyści, ale właścicielka, objąwszy go po p. Żubińskiej, może z dochodów spłacać ratami należność dawnej właścicielce, co razem przedstawia się jako przedsięwzięcie szczęśliwym skutkiem uwieńczone, a trzeba jeszcze dodać, że także z dochodów poczynione zostały w zakładzie pewne kosztowne ulepszenia. P. Miniewska życzyłaby sobie wyjechać z Warszawy na wieś na Lipiec i Sierpień do nauki malowania na porcelanie, jedwabiu i tam dalej. Oprócz kosztów podróży i utrzymania na miejscu, żąda za lekcje 30 rs. miesięcznie. Lekcje rozpoczynają się w zakładzie z d. 1-go Września.

— Doktor H. F., praktykujący w Radomiu, widząc smutne położenie chorych ze stanu niezamo-

żnego, którzy jednak w szpitalu mieścić się nie mogą, a dla braku środków i odpowiedniej opieki chorobie w domu, wznagać się pozwalają, wzywa przez miejscowe organa, o zawiązanie „Towarzystwa opieki nad biednymi chorymi“. Zadaniem Towarzystwa byłoby: wywiadywać się o takich chorych, i dawać o nich znać lekarzom, którzyby do stowarzyszenia należyć chcieli, a którzy dostarczając pomocy lekarskiej, podawaliby zarazem wskazówki jak z chorym obchodzić się należy i co, obok lekarstw, jest potrzebnem, aby do zdrowia wrócił, mając sobie udzielone środki wzmacniające, jak mleko, mięso, wino. Doktor H. E. zwraca się w tej odezwie do kobiet i pisze: „Odwołuje się przedewszystkiem do naszych pań—do siostr, żon, matek naszych. Zechciejcie panie użyczyć swego czasu, drogiego wprawdzie, choć godzinkę dziennie na odwiedzanie biednych, potrzebujących pomocy—oszczędźcie z wydatków waszych kilka rubli rocznie, a bierzcie się spora sumka do rozporządzenia i możność odkrycia nędzy, wołającej wielkim głosem o pomoc“. Szlachetny inicjator tej zacnej myśli dodaje: że gdyby kobiety wzięły rzecz do serca — gdyby dały z siebie przykład miłości bratniej i chrześcijańskiego miłosierdzia, oddziałyoby to na mężczyzn i uczciwy zamiar stałby się czynem. Sądzić należy, że głos ten, zwrócony do kobiet w kierunku najmocniej kobiecej działalności, nie przebrzmi bez skutku. Doktor H. F. odezwał się w *Gazecie radomskiej* d. 6 Czerwca, spodziewać się można, że d. 6 Lipca przeczytamy w łamach tego pisma wiadomość o wcielaniu się już w czyn tej dobrej myśli zacnej. Odwólczyć nie należy, dodaje on, szpital radomski nie zawsze może pomieścić wszystkich chorych z miasta, a kuracya w domach odbywa się „w najokrutniejszych warunkach“.

— *Dziennik łódzki* (z d. 30 Maja) donosi, że bardzo wiele mieszkanek tego miasta wybiera się do wyższych zakładów naukowych, i uważając to za objaw, będący w związku z niedalekiem otwarciem w Łodzi Gimnazjum żeńskiego, gdzie owe, pragnące wyższego wykształcenia panie, zamierzają następnie otrzymać posady nauczycielek, dodaje przecież ważną przestrożę. Oto jest już w kierunku nauczycielskiej pracy kobiety nadprodukcya, co wykazuje się przez bardzo liczne, zapotrzebowanie przechodzące ogłoszenia się w dziennikach łódzkich nauczycielek: „z patentem, muzyką i językami“. Żali się przecież, że na innym polu, naprzykład na polu dobroczynności publicznej w zakresie szerszym, nie widać skutków dobrze zorganizowanej pracy kobiecej — że nic nie słychać co się dzieje w komitetach kobiecych, z projektami, które miały wejść w życie pod ich przewodnictwem.

— Księżna Radziwiłłowa, zamieszkała w Berlinie, zawiązała tam komitet pań polskich, dla kwestowania po kościołach katolickich, aby zebrane tą drogą pieniądze, można było dostarczyć ubogim kościołom katolickich prowincji pruskich, to jest prowincji, zamieszkałych przez Polaków — ornatów, bielizny i aparatów kościelnych.

— Warszawska Rada Miejska dobroczynności publicznej przyjęła zapisy zawarte w testamentie ś. p. Anny Karoliny z Szubertów Zanelli, dla Warszawskiego Towarzystwa Dobroczynności rs. 1400; dla Domu Sierot wyznania ewangelickiego w Warszawie rs. 1,500; dla ewangelickiego Przytułku paralityków w Warszawie, rs. 600.

— W dniu 5 Czerwca, odbył się akt zakończenia roku w Szwalni imienia Leopolda Kronenberga na Pradze. Pobierało tam naukę 56 dziewcząt.

— Nawet serce kobiety, która powinna być przez własnych ukochań gorąco, sprawiedliwą dla tych, co równie gorąco kochają, nie umie się podnieść nad brzydką drapieżność zaborczych instynktów, gdy fakt zaborczości, raz spełniony, zdemoralizował je i okrutnym uczynił. Angielki z Ulsteru w liczbie 30,000 podały petycją de królowej Wiktorii, aby nie dopuszczała spełnienia zamiarów Gladstona, dla Irlandyi przedsiębranych. Petycja ta wyrażająca dziką namiętność, głównie anglikańskiego fanatyzmu, przeciw katolicyzmowi Irlandyi, mieści też podpisy żon wszystkich znaczniejszych obywateli z całego Ulsteru; litania tych podpisów wynosi na długość trzysta siedemdziesiąt metrów, co dowodzi, że każda z tych pań nazwisko swoje wyraziście i niemalimi głoskami wypisała. Przecież honor ducha anglo-saxońskiej kobiety ratuje lady Florencya Dixi, która wytworzyła partyę przeciwną i zbiera podpisy na petycją w odwrotnym kierunku, w której pisze, że kobieta angielska nie chce być wśród narodu swego pomocą do nieprawości — nie chce rozdmuchiwać zarzewia nienawiści tam, gdzie tylko miłość i chrześcijańskiego braterstwa uczucie może zażegnać nieszczęście. Wprawdzie lady Dixi ma mieć w życiach swoich ze strony macierzyńskiej krew irlandzką i przy pierwszych silniejszych objawach ruchu irlandzkiego, biedna ta półkrewi kobieta, miała doznawać halucynacji, graniczących prawie z obłędem umysłowym. Widywała w biały dzień wśród samotnych przechadzek po ogrodzie, nie istniejące mary band feniańskich, korespondowała jakoby z ich dowódcami, wkładając w lesie w pnie drzew starych listy do nich. Potem przecież gdy zahartowała się w dręczących ją uczuciach, ona to w czasie podróży księcia Walii po Irlandyi, wręczyła mu odważnie memoriał, mogący być podstawą ugody między Anglią a Irlandyą. Książę go przyjął i przeczytał — w każdym więc razie zna drogi do przywrócenia pokoju między ludami zamieszkującymi państwo Wielkiej Brytanii. Babka lady Dixi miała być z rodu królów i razem bohaterów Connaughtu — ona zaś ma nosić w rysach twarzy swojej wielkie do niej podobieństwo.

OD WYDAWCY.

„Bluszcz“ w przyszłym kwartale wychodzić będzie pod dotychczasową redakcją.

Szanownym prenumeratom z prowincyi przypominamy wczesne wznawienie prenumeraty, dla uniknienia zwłoki w przesyłce numerów.

Do dzisiejszego numeru *Bluszczu* dołącza się arkusz 2-gi powieści pod tytułem: **Bez miłości**, przez Florencyę Marryat.

TREŚĆ. Pogawędka. — Kartka z pamiętników poety, (dalszy ciąg), przez Szczęsną. — **Boży gniew**, powieść (dalszy ciąg), przez J. I. Kraszewskiego. — Listy z Anglii, (dalszy ciąg). — **Korrespondencya zagraniczna**, Lwów. — **Kronika działalności kobiecej.**

Dodatek obejmuje: Arkusz 2-gi powieści pod tytułem: **Bez miłości**, przez Florencyę Marryat. — **Przegląd mód.** — 50 wzorów ubiorów robót wraz z opisem **Sekreta gospodarskie.** — **Dyspozycyą stołu.**

Warszawa.—Druk S. Orgelbranda Synów, Krakowskie-Przedmieście Nr 66.

Redaktor odpowiedzialny Michał Glucksberg.

Дозволено Цензурою.
Варшава, 4 Юня 1886 года.